Rok I. Czerwiec 1933. Nr. 8.

NAD POZIOMY

Miesięcznik młodzieży Państwowego Gimnazjum w Chrzanowie

Cena 35 gr. WYCHODZI 2 KAŻDEGO MIESIĄCA Cena 35 gr.

Wydawca i Redaktor odpowiedzialny: Prof. Dr. Zdzisław Krawczyński

Dyrektor Zarządu: Abit. Tadeusz Słowik

Redaktor Naczelny: Kol. J. Muszyński.

Sport racjonalny.

Wrogowie sportu, przeważnie ludzie poważni, rekrutujący się przedewszystkiem z pośród starszego społeczeństwa twierdzą, że sport sprowadza ogłupianie i spłycanie młodzieży, oraz szkodliwe skutki dla zdrowia.

Twierdzenie to zresztą ma zupełną słuszność tam, gdzie sport jest nieracjonalnie pojęty. Jeśli natomiast chodzi o sport racjonalnie pojęty — twierdzenie powyższe wydaje się nam dzisiaj śmiesznem, wypływającem chyba z kompletnej ignorancji w nowej dziedzinie nauki, jaką jest już teraz bezprzecznie wychowanie fizyczne.

Obowiązkiem więc wypływającym wprost z naglącej konieczności jest ostateczne porozumienie się, jakie zjawiska podciągamy pod pojęcia sportu racjonalnego t. j. takiego, jakim go chce widzieć wychowanie fizyczne.

Pojęciem sportu obejmujemy dwa jego rodzaje, mianowicie sport **zawodniczy** i t. zw. sport **mocyjny.** Pojęcie sportu „mocyjnego“ wprowadzono w Skandynawji na oznaczenie ćwiczeń sportowych, które uprawiamy dla **zdrowia, przyjemności,** oraz **w celach wychowawczych.** Dlatego należy odróżnić sport „mocyjny“ od sportu zawodniczego, którego cechą jest rekordowość, specjalizacja, oraz charakter widowiskowy. W tych właśnie cechach leży istotna różnica pomiędzy sportem w pojęciu wychowania fizycznego, a ogólnie znaną i popularną formą sportu zawodniczego.

Sport zawodniczy zajmuje się jedynie elitą specjalnie do sportu tego uzdolnionych osobników. Sport z celem rekordu może odpowiadać jednostkom dorosłym, mężczyznom specjalnie do tego celu wyszukanym i odpowiednio „tresowanym“. Chodzi jednak o rzecz inną, niezmiernie ważniejszą, mianowicie, że forma druga (sport zawodniczy) nie nadaje się dla ogółu ludności, dzięki niej masy ludności są od sportu wyłączone, a zwłaszcza ci, którzy go najbardziej potrzebują. Sport bowiem zawodniczy ze stanowiska widowiskowego i rekordowego masami zajmować się nie może.

Całe zło sportu wynika z przerostu strony widowiskowej i organizacyjnej.

Sport zawodniczy często używa argumentu, że widowiska sportowe spełniają rolę propagandową. Argument ten jest tylko złudzeniem, gdyż jak wspomniałem nie zajmuje się masami lecz jednostkami wybitnemi, które przeciwnie, przez swoje nieraz nieprawdopodobne wyniki w poszczególnych „konkurencjach“ sportowych odstręczają szerokie masy od czynnego uprawiania tych sportów. Aby bowiem dojść do tych fantastycznych wyników należałoby prócz posiadania wrodzonych zdolności w danym kierunku poświęcić się w zupełności odpowiedniej „tresurze“, naturalnie ze szkodą dla rozwoju strony intellektualnej, bardzo często moralnej, a jak to było nieraz i dla własnego zdrowia. Dosyć mamy dowodów na to, jak niekorzystnie wpływa atmosfera sportu zawodniczego pod względem wychowawczym na młodzież.

Wychowanie fizyczne operuje sportem mocyjnym i cele jego są z jednej strony **wychowawcze,** z drugiej **zdrowotne.** Świetnie zrozumiał to w Polsce Państw. Urząd W. F., który na zasadzie minimów, za przykładem szwedzkim wprowadził instytucje o wielkiej doniosłości sportowej — „Państw. Odznakę Sportową“, która została ustanowiona celem podniesienia sprawności fizycznej najszerszych warstw społeczeństwa. P. O. S. podniesie kulturę fizyczną nasze-

go państwa skuteczniej, niż wszelkie zawody sportowe.

Dlatego też w wszystkich szkołach średnich młodzież uprawia sport mocyjny. Nasze „Koło Sportowe“ nie pozostaje w tyle, organizując corocznie wycieczki narciarskie, saneczkowanie, sport łyżwiarski, a z nastaniem wiosennych dni ćwiczenia na wolnem powietrzu. lecz nie w tym celu, aby w sezonie letnim zdobywać pierwsze miejsca i wartościowe nagrody, lecz dla zdrowia i przyjemności, oraz kształcenia silnych pod względem moralnym charakterów.

Lorenc Zdzisław
Kl. VIII a.

ZIELONE ŚWIĘTA.

Cud sady niosą w wonnej kwiatów kiści,
A myśl zamienia je w owoc Nadziei;
Twór najdrobniejszy myśl tę w sobie iści,
W słonecznych polach, w tajniach mrocznej kniei.

Różowe kwiaty kwitnących jabłoni
Na cienie muraw wonne płaty pruszą
I w modlitewnej atmosferze woni
O tem co będzie, gwarzą z ludzką duszą.

A w ludzkie serca spływa Łaska Boża,
Duch myśl uświęca w istnienia kościele
Za walczącymi idzie na bezdroża
I dalszą drogę przed oczyma ściele.

— — — — — — — — — — — —

I ludzkie serca umęczone troską,
Mai uśmiechem wiosennej zieleni......

„Mik“
Kl. VIII a.

Wiosna w górach.

(na Turbaczu w maju r. 1930.)

Na narciarzy zapóźno, na turystów zawcześnie! Zdziwiło się letnisko w najbardziej martwym sezonie niespodziewanym gościom, którzy gwarem 60-ciu głosów, życiem i werwą młodości zapełnili nagle jego puste ulice wczesną, ranną godziną... Puste pensjonaty i wille, oraz nieliczni, chyłkiem przesuwający się kuracjusze, prześliczny słoneczny dzień i poranne, rzeźwiące tchnienie gór — oto pierwsze nasze wrażenia z Rabki, po noclegu spędzonym w Chabówce. Przed nami ściele się droga na Turbacz wśród długiego szeregu domów przysiółka Słonego, a pędzący

SEN NOCY ZIMOWEJ.

Janusz wrócił ze szkoły zmarznięty. Rozebrał się szybko i wszedł do ciepło ogrzanego pokoju, dokąd w sarnich podskokach biegła za nim pokojówka i zaczęła nakrywać do stołu.

— Paniczu — rzekła przybrawszy wielce tajemniczą minę — był tu u panicza jakiś młody pan, lecz nie mógł się doczekać. Zostawił list, tylko że mi się gdzieś zapodział. Zaraz, zaraz — trajkotała szukając w fałdach swego fartuszka, a widząc, że „panicz“ niecierpliwi się nie na żarty podała mu białą kopertę.

Nerwowym ruchem rozdarł kopertę i czytał:

„Kochany Kolego!

Byłem u Ciebie, lecz Cię niestety nie zastałem. Chciałbym koniecznie, żebyś do nas przyjechał, ponieważ jest „byczy“ śnieg i można doskonale jeździć na nartach. Od nas do Czernej jest bardzo blisko, a jak wiesz, są tam cudowne zjazdy. Spodziewam się, że przyjedziesz jutro rano. Będę czekał na Ciebie w domu. Gdybyś przyjechał dzisiaj popołudniu musisz na mnie poczekać, ponieważ idę na zjazdy do Paczołtowic.

Zatem czekam napewno.

Twój Władek“.

Janusz podumał chwilkę, ważąc w myśli propozycję kolegi. Spędzenie niedzieli na wycieczce narciarskiej jest przecież marzeniem każdego „mieszczucha“ — narciarza. Szybkim krokiem zdążał do pokoju rodziców. Na progu spotkał się z matką.

— Mamusiu — zwrócił się do niej, całując ją w rękę i pokazując list. Był tu u mnie Władek, ten mój kolega z Czatkowic, gdzieśmy to na wakacjach mieszkali. Zostawił mi list, w którym prosi mnie...

— Wiem — przerwała mu matka — bo nawet rozmawiałam z nim. Prosił mnie bardzo, byś przyjechał do niego na narty. Jabym nie miała nic przeciwko temu, ale boję się trochę o Ciebie, mógłbyś sobie coś złego zrobić. Słyszy się o tylu wypadkach...

— Mamusia zawsze się boi o mnie, a przecież byłem już na tylu wycieczkach i wróciłem zawsze cały — biadał Janusz — Proszę mi pozwolić jechać.

Serce matczyne nie pozostało nieczułe na prośby jedynaka, a ten widząc przyzwolenie w jej oczach

z gór potok ku ich stopom i wgłąb doliny prowadzi...

Po godzinnym pochodzie wstępujemy na stoki strome Obidowca i zaczynamy piąć się leśną drogą ku górze. Ostatnie domy przysiółka znikają pod naszemi nogami i obejmuje nas zewsząd dziewicza przyroda. Z zadowoleniem stwierdzamy, że jesteśmy już mniej więcej na wysokości Zakopanego, a teraz Jaszczurówki, a teraz jeszcze wyżej, że powietrze robi się coraz rozkoszniejsze... że nie zadługo, ot z za tego grzbietu Tatry się ukażą...

Idziemy dość raźno to lasem świerkowym, to halami naprzemian. Z grzbietów górskich ku roztokom w dół spadają jasno-zielone polany, o żywych wiosennych barwach. Gorce przywdziewają na stokach majową już szatę, choć pod ich szczytami tai się jeszcze zima, przysłonięta skrzydłami karłowatych smreków, wśród pordzewiałych, wypłowiałych traw zeszłorocznych. Na mokrych łąkach wśród hal wysypują się wielkie kwiaty kaczeńców, jak tysiące słońc, a pomiędzy niemi jaśnieją jeszcze pierwosnki. Na tle pierwosnków kaczeńce nabierają miedzianego, czerwonego odblasku. Całe stoki hal świecą się w tej roślinnej szacie. Rzadziej fioletowy krokus wychyla się z leśnego podszycia i zdumionem okiem patrzy na płaty śniegu, bielejące w cienistych schronach. Zima i wiosna, dwie nieprzyjaciółki zmagają się tu jeszcze ze sobą. Wiosna zwycięża, ale nie wszędzie jeszcze, bo oto przed zachwyconemi oczyma chłopców zajaśniały szeregiem śnieżnych szczytów Tatry.

Jeżeli kiedy można je porównywać do zamrożonych w swoim biegu „fal potopu świata“, do mroźnego kraju śniegowego, „wielkiego jak sny młodości“ jeżeli kiedy zdają się być skamieniałą bogów epopeją, która „sama wzlatuje do góry“, jeżeli kiedy pola śniegów i lodów zdają się wisieć w przestrzeniach powietrza — to chyba teraz w początkach maja, kiedy je stąd z Gorców oglądamy. Do pewnej wysokości, jak daleko sięgają regle, lasy wolne już od śniegowej okiści, ciemnieją, przysłonione mgłą oddalenia, wyżej natomiast w halach, na pochyłości stoków turni mniej prostopadłych, w szerszych i węższych szczelinach żlebów, na załamaniach i skalistych progach, wszędzie jeszcze śniegi i lody, wszędzie niepokalana biała szata zimy, porżnięta sinemi pasami pionowych i wolnych od śniegu skał i szerokiemi ścianami krzesanic. Wobec rozścielającej się wpełni na Podhalu wiosny — tem bardziej wydają się te masy śniegów wiszące pod niebem — czemś nieprawdopodobnem. To samo potężne słońce, które oświeca oto zielone polany Gorców i nas praży jak ogień, rumieni tam śniegi a stopić nie może. Zima wdziała tam twardszy i grubszy pancerz i ogniste pociski Ormuzda nie mogą jeszcze zgnieść Arimana. Nawet wiatr wiejący stamtąd przynosi ze sobą zimowe jeszcze, choć bardzo rzeźkie podmuchy...

Mając już teraz widok otwarty na wszystkie strony pniemy się ku górze w uściskack słońca, ale ochładzani równocześnie przez wiatr, któ y świetnie regulu-

---

począł robić przygotowania zakrojone na wielką skalę. Wię najpierw wysmarował narty uniwersalnym „smarem“ — świeczką, natłuścił własnoręcznie swe siedmiomilowe buty narciarskie i zapakował do plecaka słodycze przygotowane naprędce przez troskliwą mamusię. Zjadłszy wyziębnięty już obiad, począł się ubierać. Za chwilę żegnał się już z matką, udzielającą mu ostatnich rad i niezadowolonym ojcem „mruczącym pod nosem„ wyrzekania na „dzisiejszą młodzież“.

Pół godziny potem dojeżdżał już do Krzeszowic. Czem dalej był od Krakowa, tem się czuł lepiej. Znudziło mu się już życie wsród gwaru miejskiego, więc gorączkowo oczekiwał zatrzymania się pociągu.

Krzeszowice — Krzeszowice — dolatywał głos konduktorów po zatrzymaniu się pociągu. Z plecakiem na ramionach i nartami w ręku wyskoczył Janusz z pociągu. Zaraz koło stacji zapiął narty i szybkim krokiem szedł w kierunku Czatkowic. Wieś ta oddalona o dwa kilometry od Krzeszowic leży u stóp wysokich wzgórzy.

* * *

— O! Jaka miła niespodzianka — witał Janusza ojciec Władka. Władek mówił, że pan przyjedzie jutro rano. Szkoda, bo przed chwilą wyszedł na narty do Paczołtowic...

Rychło zjawiła się matka kolegi Janusza i rozpoczęła się żywa pogawędka, zwłaszcza że po pewnym czasie do towarzystwa przyłączyła się jeszcze siostra Władka, wesoła panna Ewa... Śnieg jednak walił więcej i Janusz postanowił iść na poszukiwanie kolegi.

* * *

Droga, którą jechał Janusz, pięła się stromo w górę, przecinając las czatkowicki śnieżnemi serpentynami. Śnieg był jak wymarzony. Pod spodem zmarznięty i twardy, z wierzchu suchy i puszysty czynił wyśmienity grunt dla narciarza. Po obu stronach drogi ciągnął się gęsty las, a drzewa pokryte okiściami śniegu wydawały się murem nie do przebycia. Czem dalej od wsi, tem mniej było śladów ludzkich zato coraz częściej widniały świeże ślady szaraków i szybkonogich sarenek.

Porządnie się już zmęczył Janusz, kiedy dojechał na szczyt wzgórza. Tu z zadowoleniem zauważył ślady nart.

— To pewnie Władek tędy jechał — pomyślał. Nie wiedział jednak w którą stronę jechać. W miejscu

je temperaturę rozgrzanego ruchem i słońcem ciała. Płuca nasze do najdalszych swych cieśnin napełniają się w głębokich oddechach rozkoszą i zdrowiem. (Można powiedzieć zdrowiem na zapas, które na lata całe czyni organizm odporniejszym na wszelkie choroby. Mimowoli nasuwa się tu zestawienie z warunkami zdrowotnemi na salach gimnastycznych i boiskach miejskich, gdzie rozchylone nozdrza i pracujące żywo płuca młodzieży, wchłaniają nieraz proch, pył, dym i bakcyle, zarodki chorób w przyszłości. Cóż może iść w porównanie z tą cudowną gimnastyką, którą tu uprawiamy teraz, wyrwawszy się na kilka dni z miasta, na kilka dni, ukradzione niejako na rzecz zdrowia. A któraż wreszcie gimnastyka może dać tyle pokarmu duszy, któraż zbliża się bardziej do ideału równomiernego i zgodnego rozwoju zarówno ducha jak i ciała?)

Ostatni odpoczynek urządziliśmy o pół godziny przed szczytem Turbacza.

W miarę zbliżania się do szczytu, las karleje coraz to bardziej i coraz częściej bieleją pod gęstwiną małe pólka śnieżne. Na znacznych przestrzeniach trawa zwiędła, zmięta i mokrawa świadczy o tem, że śnieg dopieroco z niej zeszedł i spłynął.

Ze szczytu Turbacza widnokrąg już i tak rozległy rozszerzył się jeszcze na całe pasmo Tatr, choć same wierchy zaczęły się już obwijać chmurami, a dalsze ku zachodowi wysunięte części majaczyły tylko we mgle. Również słabo rysowały się w oddaleniu kontury Małej Fatry i Chocza, Zato we wschodniej stronie było czyściej i Pieniny mieliśmy jak na dłoni. Na północny wschód i na północ od nas śmiały się w słońcu i pogodzie hale i szczyty Gorców jak Przysłop, Gorcz, Kudłoń, tuż poniżej nas mały Turbaczyk w jasno—zielonej sukience i z zębami skał, dalej Mogilnica, Ćwilin, Śnieżnica, Lubogoszcz, Szczebel, wreszcie Luboń rabczański a na północnym zachodzie wspaniały, ku niebu wyciągnięty, siwizną śniegu przyprószony stożek Babiej Góry... Pod naszemi stopami z jednej strony kotlina podhala, a z drugiej rozchodzące się na wszystkie strony, kręte, głębokie doliny roztok. Roztoki! Zacząłem o nich mówić chłopcom i wspomniałem Orkana nie przeczuwając, że za kilka dni zamknie się za nim brama wieczności i że już nigdy nie wyjdzie na swój ukochany Turbacz pojźrzeć ku Tatrom...

W schronisku pod Turbaczem zapanowała wreszcie cisza. Ustały rozmowy żarty, dowcipy, króre zawsze rodzą się podczas takich niezwykłych zbiorowych noclegów — znużona gromada zapadła w sen głęboki...

Uspokojony wreszcie po trudach opiekuna, wyszedłem na chwilę na polanę przed schroniskiem. Księżycowe światło zalewało ją potopem blasków, a dalej na stokach całe morza lasów czerniały w subtelnych oparach, a z ich obramienia tu i ówdzie wychylała się jaśniejąca hala. Daleko w dole błyszczał Nowy Targ i rozrzucone na wielkich przestrzeniach światełka wsi. W nasyconej światłem księżyca mgle,

---

gdzie stał, krzyżowały się trzy ślady narciarskie, w trzy strony świata biegnące. Dość długo namyślał się co robić; tymczasem co innego zajęło jego uwagę.

Na lewo od drogi, którą przyjechał bieliła się leśna przecinka. Poprzez lukę między drzewami ujrzał zachodzące słońce. Czerwonozłota kula słońca rzucała liljowe promienie na ośnieżone lasy, a pod ich wpływem śnieg nabrał liljowo—niebieskiego koloru. Ogarnęło Janusza jakieś nieokreślone uczucie, którego nieumiałby sam może nazwać, a które zapanowywało nad nim zawsze w obliczu piękna natury. Słońce kryło się szybko za odległe wzgórza, a na chwilę pozostał tylko ślad po nim w postaci oświetlonego krańca nieba i wskazywał miejsce, gdzie zaszło. Teraz już śnieg nabrał barwę ciemnego fioletu a las czernił się tajemniczo.

Janusz ocknął się. Dłuższe pozostanie na tem miejscu nie miało sensu. Rozsądek radził mu wracać drogą, którą przyszedł. Usłuchał jednak drugiego głosu, który podszeptywał mu, by wybrał inną drogę. Skłoniła go do tego może żądza przygód, a może nie zdawał sobie sprawy, że naraża się na zabłądzenie.

Mróz zwiększał się, to też narty szły wyśmienicie po zmarzniętych śladach.

Janusz biegł dość szybko szeroką przecinką leśną. Ponad nim rozciągało się wielkim namiotem rozgwieżdżone niebo, a wschodzący księżyc siał na ziemię srebrzyste blaski. Gdzieniegdzie szarzały nadciągające od zachodu chmurki.

Po długiej chwili tknęło go coś, że w złą stronę jedzie. Przystanął, ponieważ zdawało mu się, że zgubił ślad nart, za którym dotychczas jechał. Z niemałem przerażeniem skonstatował, że się nie myli. Zaczął więc wracać pospiesznie. Po chwili natrafił na dawny ślad. Ani na prawo, ani na lewo nie było innych. Widocznie ktoś przed nim dojechał do tego miejsca i nawrócił. Wracał więc dalej spiesznie chcąc dotrzeć do drogi, którą przyjechał. Zdenerwowanie tak go opanowało, że w szybkim biegu nie spostrzegł nawet kiedy minął krzyżujące się drogi.

Tymczasem chmury gromadziły się na niebie coraz większe i coraz więcej ich było, A Janusz szybko parł dalej. Wjechał na małą polankę leśną i przystanął. Zdawało mu się, że widzi jakiś minjaturowy domek stojący na uboczu. Podszedł bliżej. Nie mylił się.

Jakaś mała budowla stała wśród szczerych lasów. Podszedł bliżej, chcąc zobaczyć czy otwarta. Ujrzał

jak gród zaczarowany majaczał w oddali szereg wierchów tatrzańskich. Wiatr zmagał się i huczał we węgłach schroniska, poruszał las głębokim szumem i pogwizdywał smętnie w pojedynczo stojących, małych smrekach... Będzie tak śpiewał do rana swoją epopeję o czasach dawnych czy też nawet przedwiecznych...

Po noclegu i śniadaniu cała wyprawa nasza ruszyła rzeźkim krokiem grzbietami i szczytami przez główne pasmo Gorców do Tymbarku.

W silnej, opalającej ciała wichurze idziemy godzinami całemi to przez otwarte hale i polany, to znów, wśród gęstwin leśnych, gdzie coraz częściej napotykamy płaty śniegu. Wśród niskorosłego lasu strzelają ku górze szkielety zamarłych drzew, których nagie żebra, obdarte ze szpilek sterczą żałośnie, a wiatr na nich wygrywa jakąś melodję grobową. Znalazły się nie na swojem miejscu ze swoją ideą pięcia się ku górze i musiały zginąć w walce o byt w środowisku poziomych karłów — gdzie wielkimi są tylko szczyty gór, a nie rośliny, wiatr tylko, burza tylko, ulewa i zawieja śnieżna — mocarze wszechwładni — przed któremi wszystko tu giąć się musi, chwiać się i kłaniać — wszystko oprócz twardych głazów i człowieka silnego...

Po dłuższym pochodzie urządzamy krótki odpoczynek przy większym płacie śnieżnym i robimy zdjęcie fotograficzne na oryginalną kapliczkę, która tu stoi. Chłopcy, chcąc mieć pewną satysfakcję i zarazem dowód dla kolegow, że wczasie kiedy w dolinach wiosną w pełni, tu mieli do czynienia ze śniegiem — fotografują się z kawałami śniegu w rękach, a nawet robią na poczekaniu małego bałwana, dając mu na zdjęciu honorowe miejsce w środku... Po zdjęciu urządzają generalne bicie się kulami śnieżnemi, przyczem, jak zwykle bywa, znaleźli sobie kozła ofiarnego, na którym skrupiła się cała zawieja pocisków...

Minąwszy t. z. Gorcz, schodzimy na halę, z której mamy już spuścić się w dół do wsi Szczawy.

Jeszcze raz krótkie zatrzymanie się, zanim schodzić zaczniemy, jeszcze jedno pożegnalne spojżenie na Tatry.

Żegnajcie Tatry! Jeszcze wasza pustynia kamienną, lodową i śnieżną jest pustynią. Jeszcze nie brzmią hale rozgwarem głosów pasterskich i pobrzdękiwaniem dzwonków pasących się trzód; jeszcze zamarznięte wasze pawiookie stawy i jeziora; jeszcze Czarny Staw w okowach lodu, w pierścieniu śniegiem przysypanej kosodrzewiny; jeszcze nad Szczyrbskiem jeziorem jak siwe upiory stoją te same modrzewie, które w nizinach wdzięczą się już ustrojone w cudowną zieleń młodych, wiosennych szpilek...; jeszcze nie wysypały się błękitne gencjany i nie pokryły się upłazy szmaragdowym kobiercem. Całkowita martwota i biel zimy wyżej w turniach, a nieco niżej w halach utajone i mające się dopiero obudzić życie...

Żegnajcie nienadługo! Ujrzymy się wkrótce.

---

białą tablicę nad drzwiami przybitą i z trudem odczytał: „Schronisko św. Huberta“.

— Myśliwskie schronisko — pomyślał i począł manipulować koło zamku. Po chwili małe drzwiczki stały otworem. Odpiął deski i wszedł. Zdawało mu się, że wśrodku jest cieplej. Stały tam dwa niewielkie stoliki otoczone niskiemi ławeczkami; w kącie mały żelazny piecyk.

— Możeby tu przenocować — przemknęło mu na chwilę w myśli, lecz zaraz wyszedł. W jednej chwili znów miał przypięte narty i mknął skąd przyszedł. Dość długo błądził po leśnych przecinkach, lecz nie mógł natrafić na dawną drogę. Opanowało go znużenie. Jakże teraz żałował, że nie czekał na Władka w domu. Pewnie się tam wszyscy o niego niepokoją — niepotrzebnie napędził mu nowego kłopotu. Może go już szukają po lesie, a on tu błądzi po tych „zaczarowanych drogach“. Myśli cisnęły mu się do głowy a zdenerwowanie ogarniało go coraz większe. Żałował nawet teraz, że nie został w schronisku. dokuczał mu bowiem coraz bardziej zwiększający się mróz. Postanowił dotrzeć do schroniska. Po długich krążeniach udało mu się to.

Już z dala usłyszał jakiś szmer; sądził, że pewno Władek w poszukiwaniu za nim dotarł tutaj, lecz niestety rozczarował się. Obok schroniska zbudowane były drabinki na pokarm dla zwierząt, na których leśny układał w czasie zimy siano „dożywiając“ w ten sposób biedne sarenki. I właśnie w tej chwili, kiedy nadchodził Janusz, zajadały sobie one w najlepszej harmonji przygotowane siano.

Jeszcze nigdy nie widział tylu saren naraz. Kiedy księżyc wychylił się z poza chmur naliczył ich sześć. Widocznie zbyt głośno zachowywał się, gdyż wślad za jedną, która dała susa w gęstwinę, pognały wszystkie.



SPROSTOWANIE.

Podaję do wiadomości, że notatkę p. t. „Orkiestra Gimnazjalna“ umieściłem na skutek informacji kolegów nie zastanawiając się nad jej formą i treścią.

Uczyniłem to na własną rękę bez wiedzy Redakcji Odpowiedzialnej. Za nadużycie to i za niewłaściwość zarówno poszkodowanych jak i Redakcję Odpowiedzialną przepraszam.

Tadeusz Słowik.

KRONIKA.

Dnia 4 maja, w poniedziałek, młodzież Gimnazjum urządziła uroczysty poranek z okazji Konstytucji 3 Maja. Uroczystość odbyła się na obszernym, wewnętrznym podwórzu zakładowym. Orkiestra gimnazjalna odegrała hymn państwowy, po którym słowo wstępne wygłosił p. prof. Gliksman, charakteryzując epokę historyczną, w której powstała wiekopomna konstytucja.

Abit. Tadeusz Słowik wygłosił referat p. t. „Konstytucja majowa a konstytucja marcowa“. Mowca przedstawił dzieje powstania obydwóch konstytucyj i podobieństwa oraz różnice obydwóch tworów ducha polskiego.

Deklamację okolicznościową wygłosił kol. Tad. Paluch kl. III. a. Okolicznościowe śpiewy chóru gimnazjalnego i kilka produkcyj orkiestry zakończyły podniosłą uroczystość.

Dnia 5 maja kl. VIII a urządziła z p. p. prof. prof. J. Gruszeczką i P. Maślanką wycieczkę naukową do kopalni węgla J. Piłsudskiego w Jaworznie. Abiturjenci, podzieleni na 2 grupy, zwiedzili dokładnie wnętrze kopalni, interesując się urządzeniami technicznemi i znojną pracą górników. Zwiedzono również olbrzymią elektrownię, na terenie tej samej kopalni będącą.

W piątek dnia 8 maja z okazji Imienin p. Dyrektora Gimnazjum urządziła młodzież samorzutnie poranek ku czci Solenizanta. Rano wzięła młodzież udział w nabożeństwie na intencję Solenizanta. Po nabożeństwie na ul. Kościuszki przed Gimnazjum p. Dyrektor przy dźwiękach orkiestry w otoczeniu p. p. profesorów odebrał defiladę młodzieży. Od dyrekcji do auli ustawiono szpaler, którym p. Dyrektor udał się do auli, gdzie przedstawiciele młodzieży złożyli mu życzenia. Produkcja chóru i orkiestry wypełniły część muzyczną poranku. Przemówienie p. Dyrektora zakończyło familijną uroczystość.

We czwartek dnia 18 maja Gimnazjum wspólnie z Seminarjum urządziło w sali kina „Zorzy“ poranek wokalno — muzyczny. Część muzyczną wykonał chór mieszany (Gimnazjum — Seminarjum) chór męski gimnazjalny i orkiestra — jazz, gimn. Przysp. Wojsk. pod kierunkiem abit. Jujusza Sassa. Na część wokal-

---

Janusz przypomniał sobie o swem położeniu. Nocowanie w schronisku wcale nie należało do przyjemności. Niesposób jednak było wracać, Tymczasem na dworze nastała prawdziwa „czarna noc“. Chmury pokryły już całe niebo a wicher przepędzał je z miejsca na miejsce. Janusz otworzył na chwilę drzwi, lecz wiatr zatrzasnął je z taką siłą, że słabo zbudowany domek zatrząsł się w posadach. Siedział teraz w ciemności i rozcierał zmarznięte dłonie. Przypomniał sobie o piecyku stojącym w kącie. Niebyło niestety drzewa, którem by można zapalić. Za cenę zniszczenia drabinek dla saren postanowił się ogrzać. Wyszedł na dwór. Wiatr ucichł, tylko śnieg padał wielkimi płatami. Janusz zabrał jedną drabinkę oraz trochę siana i wszedł do wnętrza. Sam wzdrygał się na wspomnienie o naniedoliźmie jaki czynił; zwyciężyła jednak chęć ogrzania się.

Połamał cienkie szczebelki drabiny, włożył do piecyka pęk siana i ułożył na niem połamane drzewo. Długo mozolił się zanim zapalił je; mokre od śniegu drzewo niebardzo chciało się palić. Po chwili trzaskał wesoło ogień, a Januszowi momentalnie zrobiło się weselej. Cała przygoda zaczęła go teraz śmieszyć a spędzenie nocy w schronisku okazało się mniej strasznem niż wydawało się z początku. Janusz siadł na niskiej ławeczce koło piecyka i grzał zmarznięte ciało, Przykro mu tylko było, że „przygodą“ swoją przysporzy trochę niepokoju i zmartwienia koledze. Nie miał jednak co marzyć o powrocie do Czatkowic przed wschodem słońca, zwłaszcza, że na polu chulał znów wicher. Małe schronisko aż trzęsło się od jego uderzeń. Dziwne naprawdę, że małe ścianki zdołały się oprzeć wichurze śnieżycy. Janusz dołożył do ognia resztę drzewa. Ogień buchał teraz wielkim płomieniem a w izdebce było aż parno. Zdjął wiatrówkę i podłożył pod głowę. Sen przymykał powieki. Janusz był tak znużony, że długo nie mógł z nim walczyć.

W schronisku myśliwskiem między Dubiem a Paczołtowicami rozległo się głośne chrapanie...

* * *

Janusz obudził się wczesnym rankiem i w żaden sposób niemógł się z orjentować gdzie jest. W końcu przypomniał sobie wszystkie szczegóły wczorajszego popołudnia i wieczoru. Wstał i przeciągnął pokurczone członki. Bolało go trochę ciało odgniecione na twardej ławce i ciążyła trochę głowa; nie robił sobie

ną złożyły się liczne deklamacje, wygłoszone przez dobre oratorki, oraz jednoaktowa komedja p. t. „Pierwsza lepsza“. Piękne tańce wykonane przez uczenice z Seminarjum uzupełniały obydwie części. Ten sam program został powtórzony wieczorem w sali „Sokoła“ dla publiczności.

Dnia 22, 23 i 24 maja P. W. gimnazjalne wzięło udział w ćwiczeniach wojskowych na Borowcu koło Chrzanowa.

Dnia 15 maja cała młodzież gimnazjalna wzięła udział w wyświetlaniu w sali kina „Zorzy“ prześlicznego filmu polskiej produkcji p. t. Pod Twoją obronę“. Film ten oparty na motywach lotniczych i religijnych, zachwycał wszystkich.

(T. St.)

WYCIECZKA NA ŚLĄSK.

Wycieczka na Śląsk odbyła się dnia 6 marca pod przewodnictwem p. prof. dr. Krawczyńskiego. Dnia tego o godz. 7·30 rano wsiedliśmy na stacji w Chrzanowie do pociągu idącego w stronę Trzebini. W Trzebini przesiedliśmy do pociągu katowickiego. W Katowicach znów musieliśmy wsiąść do innego pociągu do Chorzowa. Od Katowic po obu stronach toru znajdowały się budynki, gdyż miasta są tutaj gęsto a niektóre nawet łączą się razem. Punktem wyjścia był Chorzów, odległy o 4 km. od granicy. Poszliśmy zaraz do fabryki azotu. Musieliśmy zadowolić się oglądaniem z zewnątrz tej wielkiej chluby państwa ponieważ nie można było uzyskać pozwolenia na zwiedzenie wnętrza.

Z Chorzowa udaliśmy się do Królewskiej Huty. Tutaj mogliśmy za staraniem p. profesora zwiedzić wnętrze olbrzymiej huty żelaza. Na początku byliśmy w walcowni drutu. Tutaj oglądaliśmy maszyny, które walcowały sztaby żelaza na drut różnej grubości. Następnie zwiedziliśmy oddział, w którym robiono obręcze na koła od wagonów. Dość duże kule z żelaza rozgrzewano i wkładano pod młot, który je rozpłaszczał. Takie okrągłe sztaby wkładano pod inny młot, który wybijał w środku otwór i obcinał na obwodzie. Obręcze te wkładano powtórnie do ognia. Rozpalone wyjmowano i wkładano na przyrząd w rodzaju wirownicy. Tutaj obracało się koło własnej osi, a robotnicy drągami żelaznemi wygładzali i rozszerzali na obwodzie. Wykończone odkładano na bok. Z tąd poszliśmy do walcowni szyn. Oddział ten, jak i poprzedni, był w ruchu. Zaraz na wstępie zagrodziły nam drogę „ogniste żmije“. Wysuwały się one szybko z pod walców. Rozpalone do białości sztaby żelaza walcowano na szyny. Gdy grubość była już odpowiednia, posuwano je przez obracające się walce, umieszczone w podłodze, pod piłę. Piła obracająca się z ogromną szybkością, przecinała je ze zgrzytem na

jednak nic z tego. Jedynie odczuł głód i z chęcią zjadłby był dobre śniadanko. Pragnął jaknajwcześniej wydobyć się z tej matni, do której z własnej winy się dostał. Otworzył drzwi schroniska i wyszedł na pole. Słońce wschodziło na niebie, pokrytem gdzieniegdzie szaremi chmurkami, ciągnącemi od wschodu. Śnieg musiał spaść w nocy duży, bo wczorajszych śladów nie było znać. Janusza przejął chłód zimowego poranku, to też oczyma szybko pożegnał gościnne schronisko, przypiął deski i ruszył na zachód, spodziewając się dotrzeć tamtędy do Czerny. Po godzinie jazdy drogą, malowniczo wijącą się wśród wzgórz lesistych, dotarł wreszcie na wzgórze z kąd rozciągał się wspaniały widok.

Janusz stał i patrzał z zachwytem.

* * *

Czerna tonęła w powodziach zimowego słońca. W powietrzu przepojonem zapachami lasu unosiła się śnieżna mgiełka, mieniąca się w słońcu jak rozsypane brylanty. Świeży śnieg pokrywał ziemię bielutkim puchem a tak fantastycznie i cudownie przystroił drzewa że zdawało się, jakby każde z nich wyszło z pod dłuta genjalnego rzeźbiarza. Cisza panowała tajemna, jeno czasem zabrzmiał srebrzysty głos dzwonka pustelniczego klasztoru O. O. Karmelitów, świadcząc o bliskości ludzi.

Zabudowania klasztoru karmelickiego, tak samo białe, wydawały się jakby ze śniegu, jeno kraty u okien cel i otaczające klasztor mury świadczyły, że wzniósł je budowniczy—człowiek.

Poniżej klasztoru, wąskim pasmem ciągnęła się dolina św. Eljasza, otoczona z obu stron wysokiemi wyniesieniami.

Chcąc się dostać do wsi Czerny z miejsca, w którem znajdował się Janusz, trzeba było przejechać przez terytorjum klasztoru, które od reszty lasów ogradzają stare, wyniosłe mury.

Janusz minął je w pędzie i zjeżdżał w dół, wśród starych kilkusetletnich drzew. Starał się rozumieć poszum mowy tych, które „starodawne opowiadają dzieje“ i przystanął. Tymczasem uwagę jego zajęło co innego. Usłyszał tętent zbliżającego się konia; z za zakrętu wypadł galopem jakiś jeździec. Z razu widać było tylko jego kontury; nadjechał pędem i ukazał się Januszowi w całej swej okazałości. Na białym rumaku jechał zakonnik czerneckiego klasztoru. Jeździec był wysokiego wzrostu a koń okazały. Habit zakonny mnicha czynił go podobnym do owych bojowni-

odpowiednie odcinki. Te odkładano na bok jako gotowe szyny.

W dalszym ciągu byliśmy w oddziale pieców. Była to ogromna hala, której cała jedna połowa miała w podłodze kwadratowe otwory. Były to piece. Z każdego pieca wydostawały się zielonkawe języki ognia. Nad piecami była dźwignia ruchoma, przy pomocy której wkładano do tych pieców ogromne kloce żelaza w kształcie graniastosłupa kwadratowego mające około 8 tysięcy kg. wagi. P. Profesor trafnie porównał piece z czyśćcem, a kloce żelaza weń wkładane do dusz. Po rozpaleniu wkładano kloce pod walce.

W związku z tym oddziałem poszliśmy do innego oddziału pieców, w którym przetapiano stare żelazo i rudę oraz odlewano wspomniane kloce żelaza. Tutaj jedna ściana zajęta była przez piece. W nich to przetapiano żelazo i rudę. Co pewien czas podjeżdżała dźwignia, do której przyczepiano olbrzymi kocioł z płynnem żelazem. Na boku stały formy, do których wlewano żelazo płynne z kotła. Po ostygnięciu żelaza kloce te przewożono kolejką do oddziału już opisanego.

Udajemy się wreszcie do pieców, w których wypalają koks. Tłuczony węgiel daje się pod prasę. Po sprasowaniu wsuwają go do pieca i zamykają, gdzie praży się od 3—4 godzin. Wtedy podjeżdża wagon żelazny, do którego mechanizm z drugiej strony pieca umieszczony, wypycha gotowy już koks.

We wszystkich oddziałach panowała wysoka temperatura. Oprócz dzieł genjuszu ludzkiego widzieliśmy także ciężką i ryzykowną pracę robotnika polskiego. Zwiedzania Huty nie zastąpiłby żaden wykład, choćby najlepszego prelegenta.

Przeszedłszy Hutę Królewską skierowaliśmy się do Katowic. Tramwaje kursują tutaj nawet między miastami. W Katowicach zwiedziliśmy kościół, kilka ulic i doszliśmy do teatru, który widzieliśmy tylko z zewnątrz. Widzieliśmy największy budynek Katowic, „drapacz chmur“ o 14—tu piętrach. Zwiedziliśmy park Kościuszki i zwierzyniec, wreszcie gmach województwa śląskiego. Ponieważ mieliśmy jechać dopiero wieczorem o godz. 9, rozeszliśmy się przeto grupami po mieście, oglądając różnokolorowe reklamy świetlne i wieczorny ruch uliczny. O godz. 9 tej odjechaliśmy w stronę Trzebini. Przez dłuższy czas po obu stronach toru migotała niezliczona ilość świateł, dopiero za Mysłowicami pociąg mknął w ciemnościach. W Trzebini po krótkim oczekiwaniu na pociąg przyjechaliśmy do Chrzanowa. Życząc sobie dobrej nocy rozeszliśmy się do domów.

C. J. kl. IV b.

ków za wiarę świętą jeno spokój jaki malował się na jego twarzy świadczył, że bronią jeźdźca jest nie miecz, ale cicha modlitwa. Był to brat leśniczy na rannej lustracji lasów. Zdziwiło go trochę, że tak wczas spotkał obcego narciarza; był z natury bardzo uprzejmym i rozmownym, a widząc zdumienie i zachwyt w oczach Janusza pierwszy zagadnął :

— Cóż to tak wczas panie narciarzu?

... I potoczyła się zwykła rozmowa. Oczemże by mówić z narciarzem jak nie o nartach... A brat leśniczy umiał się dostosować do okoliczności, to też po chwili byli już starymi znajomymi i Janusz opowiedział mu swą przygodę. Niedługo potem pięli się ścieżką do klasztoru. Brat Piotr zaprosił Janusza na śniadanie. a ten skwapliwie skorzystał z okazji, gdyż „kiszki grały mu marsza“ na wszystkie możliwe sposoby.

Z wilczym apetytem spożywał Janusz klasztorny posiłek i opowiadał o nartach. Mówił z takim zapałem, że porwał swem opowiadaniem cichego braciszka. Tymczasem czas upływał. Janusz przypomniał sobie, że musi wracać, choćby ze względu na kolegę. Podziękował za posiłek, pożegnał miłego mnicha i ruszył ku „dolinom“. Droga z klasztoru była nadzwyczaj stroma. Narty sunęły z szybkością strzały. Pęd był tak wielki, że powietrze zatykało Januszowi dech. Chwilami serce w nim zamierało ze strachu, a za chwilkę czuł znów nadziemską rozkosz. Na zakrętach, gdzie śnieg był wywiany, rzucało nim jak piłką, tak, że zawsze tylko „cudem“ unikał upadku. Miał wrażenie, że leci na skrzydłach; kiedy znalazł się na dole żałował, że zjazd nie ciągnie się jeszcze daleko. — Miłującem spojrzeniem obrzucił górę i poszedł w stronę drogi. Dochodził właśnie do karczmy „Ślepego Wojtka“ kiedy usłyszał znajomy sygnał dany gwizdaniem. Odwrócił się i ... ujrzał kilku narciarzy, a wśród nich i Władka. Przyjaciele nadjechali do siebie pędem i odpiąwszy deski padli sobie w ramiona.

— O ty fujaro, gdzieżeś ty był? — pytał wśród śmiechu pozostałych kolegów Władek — Myśmy myśleli, że cię jakieś dzikie bydle „na surowo“ w lesie pożarło na śmierć.

Wiesz, ja właściwie wiedziałem, że tobie się nic złego nie stało, ale u nas w domu, mają cię już za całkiem „nieżywego nieboszczyka“ Najwięcej martwi się o ciebie Ewa...

Długo po nocy szukaliśmy cię po lesie, a ty siedziałeś pewno w jakiejś chałupce i grzałeś się na przypiecku...

— Niebardzo się pomyliłeś — śmiał się z kon-

Kącik językowy.

Wymowa w obcych językach.

Każdy inteligentny człowiek powinien znać kilka obcych języków, a przynajmniej wymowę w tych językach. Spotyka się przecież bardzo często w nauce lub w lekturze nazwiska lub wyrazy z obcych języków wzięte. Weźmy n. p. z francuskiego. Riechelieu, postać znana z historji. Każdy czuje, że nie można tego przeczytać tak, jak się pisze, gdyż brzmiałoby to bardzo głupio. Przeczytać jednak trzeba. Otóż poprawna wymowa brzmi: riszeljö, akcent ma na ostaniej zgłosce. Stwierdzić zaś, czy dany wyraz pochodzi z języka francuskiego, angielskiego, czy włoskiego, nie jest trudno, gdyż każdy język ma swoje odrębne cechy. Porównując teksty we wspomnianych językach, można odrazu zauważyć różnicę między nimi i uchwycić ich właściwości. Po kilkakrotnych próbach, mając dany jeden wyraz czy nazwisko, można określić do jakiego języka należy. Biorąc pod uwagę, że każdy uczeń, a tembardziej z klas wyższych, powinien się w tych rzeczach orjentować, będę podawał kolejno wymowę w ważniejszych językach europejskich.

Wymowa francuska.

Akcent spoczywa zawsze na ostatniej zgłosce.

a = a
â = długie a; âme (aam) = dusza
b = b
c = s przed e, i, y, ici, (isi) = tutaj, cime (sim) = wierzchołek, ce (se) = ten
c = k przed wszystkiemi innemi literami; corne (korn) = róg, créme (kreem) = śmietana
ç = s; ça (sa) = to
ch = sz; cher (szer) = drogi
d = d
e niewymawia się na końcu wyrazu i w środku wyrazu przed jedną spółgłoską; parle (parl) = mówi, table (tabl) = stół, petit (pti) = mały
è, ê = długie e; père (peer) = ojciec, tête (teet) = głowa
é wymawia się podobnie do ej; café (kafej = kawa, fermé (fermej) = zamknięty
f = f
g = ź przed e, i, y; girafe (żiraf) = żyrafa gerbe (żerb) = snop
g = g przed wszystkiemi innemi literami garde (gard) = straż, globe (glob) = kula
gea, geo = ża, żo; partageons (partażą) = dzielimy
gue, gui = ge, gi; guerre (ger) = wojna, guide (gid) = przewodnik
gn = ń; gagner (gańje) = zarobić

Ciąg dalszy nastąpi.

Michał Bryniowski VII b.

---

ceptów przyjaciela Janusz. Istotnie grzałem się, ale w schronisku św. Huberta w Paczołtowicach. — Tu opowiedział całą swoją przygodę,

Przyjaciel i nowi koledzy Janusza słuchali z uwagą całego opowiadania, a on kończył: — ... Wielką tylko krzywdę wyrządziłem biednym sarenkom, niszcząc im drabinkę, ale...

— Nie masz się czego martwić — Zabrał głos praktyczny Władek — najdalej za kilka dni odwiozę taką drabinkę do Paczołtowic i przeproszę sarny w twojem imieniu, a teraz chodźmy „do chałupy“ bo pewnie jesteś strasznie głodny.

— Mylisz się jadłem śniadanie u karmelitów; skromne ale obfite i teraz chętnie szedłbym jeszcze na jakiś uczciwy zjazd.

Głośnem „Hura!“ przyjęto czyjąś propozycję udania się nad „Siemaszkę“. Zjazd ten oddalony jest od karczmy „Wojtka“ o kilka zaledwie kroków.

* * *

Nad „Siemaszką“ aż roiło się od narciarzy. Janusz zdziwił się, widząc tam taki ruch.

— To z Krakowa goście tłómaczył mu Władek — wiesz, ci narciarze to przeważnie tacy, co dwa, trzy razy zjadą a potem idą do „Wojtka“ i bawią się cały dzień... —

Za chwilę mógł się Janusz przekonać, że to co mówił Władek jest tylko w części prawdą.

Ujrzał bowiem kilku narciarzy dziarsko zjeżdżających ze szczytu tego pięknego zjazdu. Szczególnie podobał mu się jeden, który tak wyśmienicie skakał, że Janusz porównał go do polnego konika.

Zjazd nad zakładem dla ubogiej młodzierzy im. Ks. Siemaszki, przedstawiał się jako rozległa góra, dość stroma, opadająca w dwóch garbach w stronę drogi. Poprzecinana rozmaitemi zagonami i miedzami czyni zjazd interesującym. Mniejwięcej w połowie zjazdu znajdowała się wysoka miedza będąca naturalną skocznią narciarską.

Janusz podchodził w górę. Mimowoli przystanął obserwując jadącego z góry „konika polnego“. Poprzecznie leżące zagony podrzucały nim tak, że czynił wrażenie przedmiotu położonego na falującą wodę. Tymczasem minął już zagony i wjechał na równe. Pęd zwiększał się coraz bardziej; jeszcze kilka razy skoczył na wystających miedzach, kilka razy zoporował i wjeżdżał na skocznię. W tej chwili wyciągnął obie ręce a trzymanemi w nich kijkami odbił się. Zatoczył łuk w powietrzu i opadł kilka metrów dalej

Kącik harcerski.

Do źródeł Popradu.

(Ciąg dalszy).

Lecz wszystko nadaremnie.

Musi iść tam, gdzie przeznaczenie mu wskazało.

Opuszcza więc przełom i jakby w rozpaczy ucieka od nich, szuka ukojenia i zapomnienia w szalonym biegu.

Dunajec opuszcza Pieniny i my kończymy swą tak miłą nigdy niezapomnianą przejażdżkę.

Po załatwieniu formalności ze strażnikami czeskimi przekroczyliśmy granicę polsko—czeską. W powrotnej drodze podziwialiśmy jeszcze raz piękny przełam Dunajca.

Również dowiedzieliśmy się, że te strome przepadziste skały to są te nic o sobie nie mówiące „skałki“, któreśmy widzieli poprzedniego dnia.

Miłą jest przejażdżka łodziami, lecz jak napowrót wyciągnąć?

Widzieliśmy ludzi, którzy z zaparciem się siebie z największym wysiłkiem i znojem, ciągnęli łodzie, brodząc przytem prawie po pas w wodzie.

Co za straszna praca! co za trud, walczyć tym żywiołem, jakim jest rwąca szalejąca woda.

A oni jednak pomimo takiego trudu są weseli i przy pracy śpiewają.

Jeszcze parę godzin spędziliśmy w pobliżu Dunajca. W krótce pożegnaliśmy go i ziemie polskie. Odtąd byliśmy rzeczywiście „za granicą“.

— Przed naszymi oczyma rostaczał się widok na bliskie już Tatry, a co dziwniejszego im bliżej ich byliśmy, tem one stawały się mniejsze, choć tak samo piękne i pociągające.

W niedługim czasie wogóle nic niewidzieliśmy bo chmury deszczowe przysłoniły zupełnie widok.

Jedynym naszem pragnieniem było uciec przed deszczem (niektórzy widocznie mieli jeszcze świeżo w pamięci burzę na Policy.)

Ciemno się robiło gdy doszliśmy do wsi i to w samą porę, bo deszcz rozpadał się na dobre.

Noc przespaliśmy na sianie w stodole. Jak spaliśmy, trudno powiedzieć, dość na tem, że rano nie jednego musiano wyciągać za nogi, bo się utopił w sianie. Jeden z nich zdziwiony, rozespany zwraca się z pytaniem do siebie. „Wo bist du?“ i przytem koncertowo ziewnął. Lecz późniejsze poszukiwanie różnych części garderoby, gdzie trzeba było użyć i sprytu i chytrości, stanowiło zagadkę wprost nierozwiązalną. To był więc wobec pogody jaką mieliśmy. Każdy był odważny i wystawił nos na zewnątrz aby zobaczyć co się dzieje na świecie, to albo drętwiał i stawał się nieczułym nawet na głód albo z błyskawiczną szybkością wracał na siano. Mówiąc, że z celów oszczędnościowych nie będzie nic dzisiaj jadł. Takich było mało, reszta wolała się przezwyciężyć i „przepłynąć“ przez podwórze. by dostać się do kuchni.

Cały dzień spędziliśmy na zabawach towarzyskich i śpiewach. Bo niebyło mowy iść w dalszą drogę po „złotej“ glince. Pod sam wieczór mieliśmy taką niespodziankę, że warto było na nią czekać niejeden dzień.

P. kl Va



---

lekko na puszysty śnieg. Pyszny „telemark“ zakończył zjazd i „konik polny“ szedł już nazad pod górę...

Janusz długo nie mógł patrzeć...

Postanowił zjechać śladami świetnego skoczka. Jechał z początku dość pewnie. Kiedy zobaczył „Skocznię“ stracił trochę fantazji, lecz nie miał już czasu i miejsca na skręcenie.

Hop!

* * *

..... Zbudził się w dziwnej pozycji. Głowę miał „w nogach“, a w kurczowo zaciśniętych rękach — jakby naciarskie kijki trzymał jasiek i poduszkę. A zamiast w śniegu tkwił w puchu pierzyny i poduszek.

Krakowski Adam
kl. VII a.

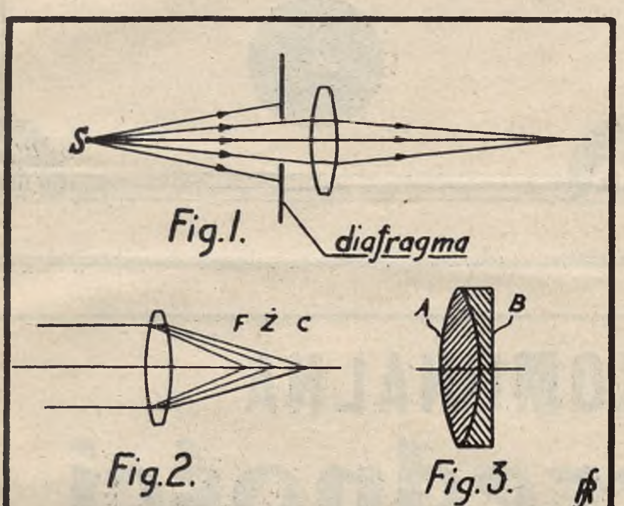
KĄCIK FOTOGRAFICZNY.

Ciąg dalszy.

2). Siła światła.

Następną, bardzo ważną w praktyce rzeczą, jest siła światła, czyli stosunek średnicy soczewki do ogniskowej, zwana często względnym otworem.

Jeżeli przepuścimy promienie świetlne przez całą płaszczyznę soczewki, otrzymamy obraz, o małej ostrości i czystości; aby tego uniknąć, zakrywamy brzegi soczewki stawiając przed nią płytkę (z nieprzenikliwego materjału), z okrągłym otworem w pośrodku (Fig 1.) Jest to t. zw. diafragma (blenda). Im większy jest otwór, tem więcej promieni przechodzi przez soczewkę (tem której można naświetlać), ale zarazem obraz będzie mniej ostry; im otwór mniejszy, tem ostrzejszy obraz.



Gdy przed soczewkę, o ogniskowej u. p. 15 cm. wstawimy diafragmę o średnicy 2 cm. i drugi raz przed soczewkę, o ogniskowej 30 cm. to w tym ostatnim przypadku, padnie na płytę mniej światła, a mianowicie tylko 1/4. Z tego wynika, że jasność obrazu zmiejsza się w stosunku kwadratowym do odległości; spada ona zatem przy podwojeniu ogniskowej na 1/4, przy potrojeniu na 1/9 i t. d. częśċ swej poprzedniej mocy.

Jasność obrazu, rzuconego przez soczewkę, zależy od stosunku średnicy diafragmy do ogniskowej; ten względny otwór wyraża się zwykle za pomocą ułamka: przy objektywie o ogniskowej 15 cm. i blendzie 2 cm. względny otwòr wynosi $2:15 = \frac{1}{7{\cdot}5}$, a jasność obrazu, przy użyciu takiej blendy oznacza się przez 1:7,5 lub F,:7,5 (F=fokus = ogniskowa).

Przy ogniskowej 30 cm. diafragmie 2cm. względny otwór będzie miał wartość $2:30 = \frac{1}{15}$ [albo F:15].

Obrazy rzucone przez dwie soczewki o tym samym względnym otworze, będą miały jednakową jasność, chociażby ich ogniskowe były różne.

Jasności dwóch soczewek, o dowolnej ogiskowej, mają się tak do siebie jak kwadraty ich względnych otworów. N.p. soczewka o F:7,5 [$\frac{1}{7,5}$] ma się w takim stosunku do soczewki o F:15 $\frac{1}{15}$ jak $\frac{1^2}{7{\cdot}5} \cdot \frac{1^2}{15} = \frac{1}{56,25} \cdot \frac{1}{225} = 225 : 56,25 = 4 : 1$, a więc soczewka o średnicy diafragmy dwa razy większej, ma jasność cztery razy większą od poprzedniej.

3] Wielkość obrazu.

Wielkość obrazu t. j. wielkość przedmiotów w obrazie rzuconym na matówkę, stoi w prostym stosunku do ogniskowej. Przy podwojeniu ogniskowej obraz przedmiotu będzie dwa razy większy, przy potrojeniu — trzy i t. d.

4[Wady pojedynczych soczewek i ich wsuwanie.

Osią optyczną nazywamy linję, którą wyobrażamy sobie, jako przechodzącą przez środkowy punkt soczewki; obraz punktu świetlnego, znajdującego się na osi optycznej, padnie po przeciwnej stronie soczewki również na niej; przy dokładnej obserwacji okaże się, że ten punkt jest otoczony kolorowemi okręgami; pojedyncza soczewka nietylko kieruje światło w ten sposób, że pozostaje obraz (załamanie), lecz rozkłada go także na barwy składowe (czerwoną — pomarańczową — żółtą — zieloną — niebieską — fioletotową, z wszystkiemi odcieniami, jak to widać w tęczy). ponieważ każdy kolor jest z inną siłą załamany (rozkład barw); silniej załamujące się promienie fioletowe, zbiegną się w punkcie F, leżącym bliżej soczewki (Fig. 2), żółte — nieco dalej (ż) i czerwone — najdalej (C); zupełnie ostrego obrazu, przy takich „chromatycznie“ nieskorygowanych soczewkach“, nie da się osiągnąć, chyba, że użyjemy bardzo małej diafragmy (F:20 — F:30). Dla oka, które najbardziej reaguje na żółte promienie, obraz wypadnie najostrzej w punkcie, gdzie zbiegają się promienie żółte (optyczne ognisko); płyta fotograficzna natomiast, jest najczulszą dla promieni fioletowych, a

więc chcąc otrzymać ostre zdjęcie, należy płytę ustawić w punkcie, gdzie zbiegają się promienie fioletowe (chemiczne ognisko); aby otrzymać cokolwiek ostrzejsze obrazy pojedynczą soczewką, bez użycia małej blendy, należy po nastawieniu na ostro na matówce, przysunąć ją do soczewki o 1/50 części ogniskowej.

Błąd ten, t. zw. chromatyczną aberacją można usunąć sklejając pojedynczą soczewkę skupiającą z A (Fig. 3), pewnego określonego rodzaju szkła, z soczewką rozpraszającą B. z innego gatunku szkła*); otrzymuje się przez to objektyw achromatyczny, nazywany także soczewką krajobrazową.

*) Soczewki sklejają się balsamem kanadyjskim, który jest żywicą jodły balsamicznej, otrzymywanej w stanach Maine i Kanadzie.

c. d. n.

R. S. Warszawa.

Czcionkami Drukarni A. Silberberga w Jaworznie, Rynek 112.